

# Tomasz Sebastian

---

## Nieszczęścia roku 1758 - wspomnienia pewnego pastora

---

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny 2/6, 209-218

---

1999

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Tomasz Sebastian**  
Dębno

### **Nieszczęścia roku 1758** — wspomnienia pewnego pastora

W roku 1758, trzecim roku wojny siedmioletniej, silna armia rosyjska, licząca około 50-52 tysięcy ludzi, tj. 76 batalionów piechoty, 51 szwadronów jazdy, prowadząca 240 dział nie licząc artylerii batalionowej, a dowodzona przez generała feldmarszałka Wiliama Wiliamowicza Fermora, Anglika w służbie rosyjskiej, ruszyła ze swoich kwater w Wielkopolsce i powoli podążając wzdłuż Warty, skierowała się przez Nową Marchię w kierunku Kostrzyna. Poprzedzały ją lotne roje kozaków, potężnie łupiących okolice a docierające nawet w pod Głogów. Armii towarzyszyły 3 pułki kozackie. Tempo marszu było dość powolne, co dało czas Fryderykowi II na skuteczne przeciwdziałanie. Jeszcze przed królem na ruch wojsk rosyjskich zareagował dowódca stojącego na Pomorzu w okolicy Stralsundu korpusu, generał von Dohna. Opuścił on już w nocy z 19 na 20 czerwca obóz pod Stralsundem, podążył na spotkanie armii Fermora i 6 lipca stanął w Schwedt. Następnie, maszerując wzdłuż lewego brzegu Odry, dotarł do Lubusza w dniu 24 lipca i do Frankfurtu 30 lipca. Rosjanie wlekli się wraz z ogromnym taborem dość wolno i przekroczyli granicę Nowej Marchii dopiero 2 sierpnia, dość gładko opanowali Gorzów Wlkp. co nastąpiło w dwa dni później i podążyli w kierunku Kostrzyna, po drodze zakładając silny obóz w okolicy Kamienia Wielkiego. Oczywiście, że generał Fermor miał nadzieję łatwego zdobycia twierdzy bronionej tylko przez jej załogę a nie osłanianej przez dość słaby korpus von Dohna operujący przezornie na przeciwnym brzegu Odry. Wzięć Kostrzyna Fermor nie dał rady, ostrzał artyleryjski mimo poważnych zniszczeń nie dał w efekcie poddania twierdzy, a zwłoka w marszu i przy obleganiu zaowocowała pojawieniem się na scenie Fryderyka II. Król podążył na odsiecz Nowej Marchii, pozostawiając

stawiwszy na Śląsku 51 batalionów piechoty i 75 szwadronów jazdy pod komendą Karola von Schwedt ( z młodszej linii Hohenzollernów brandenburskich ), stojących przeciwko 75-tysięcznej armii Dauna w pobliżu Jaromierza. 16 sierpnia w Zielonej Górze Fryderyk otrzymał wieść o oblężeniu Kostrzyna. 21 sierpnia jego 14 batalionów i 38 szwadronów kawalerii stanęło w pobliżu Gorgast, łącząc się z korpusem von Dohna. Razem Prusaków było około 36 tysięcy. Po forsowaniu Odry pod Gozdowicami w dniu 22 sierpnia armia pruska przez Kłósów maszerowała na spotkanie obozujących w umocnionym czworoboku między Chwarszczanami i Cychrami, frontem na dolinę Myśli, wojsk rosyjskich. 24 sierpnia pruska awangarda dotarła do stanowisk rosyjskich i wobec ich korzystnego położenia wraz z resztą armii przekroczyła w nocy 24/25 sierpnia Myślę, idąc następnie przez Bór Mosiński i wychodząc w okolicy Krześnicy i Sarbinowa, co zmusiło Fermora do zmiany szyku i odcięło go od obozu w okolicy Kamienia. O tym obozie jeszcze będzie się tu mówiło, a raczej uczyni to świadek wydarzeń ówczesnych. Sama bitwa trwała przez dwa dni – 25 i 26 sierpnia i była jedną z najkrwawszych wśród bardzo krwawych bitew wieku XVIII. Dość powiedzieć, że według naocznych świadków w samym Dębnie było zwiezionych z pola tyłu rannych, że chirurdzy i felcerzy operowali na ulicy, a szybko amputowane (zgodnie z ówczesną doktryną chirurgii polowej) zranione kończyny zalegały stosami. Rosjanie odeszli z pobojowiska w kierunku Kamienia Wielkiego i tam w obozie stali naprzeciwko armii Fryderyka do 31 sierpnia, po czym z wolna pociągnęli z powrotem na leża zimowe. Bez przesady można powiedzieć, że cały kraj odetchnął z ulgą. Normą w wieku XVIII było plądrowanie, grabienie i rekwizycje na terenie wroga, jednakże świadkowie ówczesnych wydarzeń wyraźnie stwierdzają, że srożenie się wojska nad ludnością cywilną przekroczyło normy ogólnie przyjęte. Rabowano, łupiono, rekwirovano na potęgę, palono całe miasteczka (dla przykładu, jeszcze w czasie marszu — Ošno) i wsie. Pół biedy jeżeli wieś dostała się w ręce regularnego wojska, nieszczęściem prawdziwym były napady towarzyszącej armii półregularnej jazdy złożonej z Kozaków, Kałmuków i innych dzikich jeźdźców, głównie zajmujących się w dniach poprzedzających bitwę i w czasie jej trwania, także po jej zakończeniu terroryzowaniem okolicy. Kozacy i Kałmucy trafili nawet jako synonim wroga do wiersza Teodora von Köppena opiewającego bitwę sarbinowską. Nawiasem mówiąc, Kozacy przez kilka ostatnich wieków ciężko zapracowali na wyjątkowo złą opinię wśród wszystkich narodów, które miały nieszczęście się z nimi spotykać. Nie ma więc powodu, by przypuszczać, że nasz świadek przesadza w opisach. Sądzę,

że żadne statystyki nie mogą przemawiać silniej od słów ciężko doświadczonego uczestnika tych wydarzeń, pastora z Mościc, Ludecusa. Jego wspomnienia czyta się żywo ze względu na talent pisarski (by nie rzec – gawędziarski) autora. Są tu nawet akcenty wręcz tragikomiczne. Wszelako muszę powiedzieć, że podczas tłumaczenia tego tekstu byłem osobiście poruszony grozą wiejącą z niektórych fragmentów.

Oddaję teraz głos świadkowi:

*Kiedy wszędzie dookola  
Zgiełk bitewny ku nam wola,  
Bądźmy przecie bez obawy.  
Kiedy statek się pogrąży,  
Wiem, że Jezus ku nam zdąży,  
Ocalenia w wierze sprawy.*

*Był 13 sierpnia, gdy wcześnie rano o godzinie siódmej rozległ się w naszym kościele krzyk: Rosjanie są we wsi! Przeraziliśmy się, gdyż zaskoczyło nas niespodziewanie pojawienie się tych wojowników i stanąłem w mojej proboszczowskiej szacie przed drzwiami, albowiem musiałem ich, czego słuszność łatwo uznać, przyjaźnie powitać. Była to avant-garde, składająca się z Kozaków ze srogimi spisami, huzarów i dragonów, która zdążyła do mej filii w Kamieniu, do obozu leżącego tylko półczwarta mili od Mościc. Gdy przeciągał pierwszy oddział, zaczęliśmy nasze nabożeństwo. Kiedy wyszedłem na ambonę, przybiegł w podskokach rosyjski oficer i jał wolać do kościelnego, że mam zejść z ambony, a wszyscy wierni mogą iść do domu, w przeciwnym wypadku ich domy będą splądrowane i spalone. Była to zaiste pocieszająca propozycja: exordium była okropność, conclusio strach i lęk przed sprawami, co jeszcze mogły nadejść. Wierni w większości uciekli, tylko mała część powróciła jednak, by przyjąć Komunię św.: Bóg wie wszelako, jaki strach każdy odczuwał. Dość, że była to iście straszliwa Msza Święta. Sam nie wiedziałem, jak się mam zachować! Przecież jednak zebrałem się w sobie jak mogłem najlepiej i teraz znaczy to: praesta te virum!*

*Bez lęku i nietrwożliwie  
Kto chrześcijaninem jest,  
Żyć stale winien cnotliwie.*

*Pan z łaski swojej sprawił, że jeszcze nie byłem strwożony, więc nadzieja nie dopuszczała do hańby.*

*W niedzielę przyszedł rosyjski pop z tłumaczem, który był tak samo głupi i nierozgarnięty jak jego pan. Pop wszedł do mojego mieszkania i zażądał: „Chleba!” Przyniosłem kawałek chleba, ale on chciał dostać cały i na stole nakreślił nawet koło, obrazujące wielkość bochenka, po czym dobył z brudnej sakiewki tym-*

fa i cisnął go na stół. Rzekłem mu: „Niemasch”, gdyż już przed południem rozdzieliłem jeden cały bochen chleba między wygłodniałych Rosjan, którzy z ciągnących oddziałów wskakiwali do domu i prosili chleba. Chętnie bym porozmawiał z popem i zapytałem go: „Rosumeischli latine?” To znaczy, czy rozumiesz po łacinie? Odrzekł: „Niemasch”. Pytałem dalej: „polonice? gallice? graece?”, z którego to ostatniego trochę rozumiałem; na wszystko była jednak jedna odpowiedź: „Niemasch”. Tak był on obeznany w językach, że zanim jego tłumacz wyjąkał wreszcie, że jest on kaptanem, miałem go za jakiegoś wisielca Żyda. Następnie wyraził on swoje niezadowolenie i poszedł sobie.

Z wieczora przybył austriacki generał baron St. André, który stale obrował z księciem Karolem Saskim i stanął ze swoim suite i equipage na kwaterze w moim domu. Był to Wirtemberczyk i ewangelik, przy tym uprzejmy pan, z którym musiałem w poniedziałek około południa obiadować. Akurat gdy wstawaliśmy od stołu, wpadł prawie do naga obdarty nasz pastuch i wniósł zażalenie przed całą gminą, że przekłęci kozacy ograbili go i zniewolili jego dwie dorosłe córki. Pan generał powiedział: „Musicie się poskarżyć w obozie”. Gmina prosiła mnie usilnie, bym pokierował słowami pasterza. Poszedłem z nim, ubranym jedynie w fartuch, do obozu i tam stanęliśmy przed namiotem feldmarszałka v. Fermora. Gdy mnie on zobaczył, spytał: „Czegoż on chce?”. Przedłożyłem mu moją prośbę o zadośćuczynienie dla pasterza. Zachnął się i powiedział: „Co się tyczy plądrowania, to taka jest wojna i Prusacy robią tak samo. Co zaś tyczy zgwałcenia córek pasterza, to zawsze to się nazywa tak: zgwałcone, zgwałcone!! Zdarza się przecież, że nie sposób, kiedy się szpadę wyciągnie, do pochwy jej schować, kiedy ktoś inny pochwę trzyma, cetera textus habet”. Chciałem komendanta trochę pohamować i wygodzić jego syllogismum, gdy on sam obrócił się do mnie i rzekł: „Niech idzie w Imię Boże, nie mam z nim więcej nic do roboty” i tak to zostałem absoltowany. Feldmarszałek wydał mi się wszelako być prócz tego dość opanowanym, jako że wcześniej sześciu z jego armii pobrało kamieńskiemu młynarzowi konie, wozy i vivres wraz z pieniędzmi. Około pół godziny wcześniej w mojej obecności egzekwowano tych sześć szelmów, którzy byli okrutnie sieczeni knutem po gołym ciele, a najgorszemu złoczyńcy oberżnięto nos i uszy. Dant się on w niebogłosość o zlitowanie, na co p. Fernor powiedział do jednego z oficerów: „Kaźcie tego psa związać, cisnąć do lochu i niech zdycha”. Oficer odwrócił się do mnie i powiada: „Panie pastorze, odpuścisz sobie. Generał przez tę egzekucję nie jest dysponowany”. Wobec tego odszedłem z głównego obozu, rozciągającego się od Mościc przez Kamień po Bogusław, a więc w całej mojej parafii na przestrzeni około pół mili. Wieluset kozaków stało na pagórku koło Kamienia i furazowało siano z łąk i wsi. Mojego też nie oszczędzili. W niedzielę przed bitwą przyszli rosyjscy grenadierzy, wymłócili żyto i jeli je mleć. W naszej wsi było trzech poruczników. Z nich jeden był Niemcem, jeden Łotyszem. Tych zapraszałem na śniadania i obiady, że dobrze

komendę trzymali. W czwartkowy wieczór przed bitwą odeszli wraz z innymi Rosjanami i już ich rano nie widziałem.

W dniu bitwy nadszedł dla Kamienia, Bogusławia i Mościc fatalny okres. Po południu przyjechało do mego domu 4 kozaków i zażądało: „Penunsche!!”, to jest pieniędzy. Dałem im talara i mimo to jeden zadał mi cios trzonkiem korbacza, uderzył w głowę aż puściła się krew. Po pół godzinie przyjechali inni i zażądali: „Vino!”. Powiedziałem: „Niemasch, zeivvoscheruwalli”, to znaczy, nie mam bo już wszystko wybrano na furaz. Po tym jeden z nich uderzył mnie knutem, inny nawet zamachnął się na mnie szablą. Musiałem otworzyć kościół, w którym jeden z tych łajdaków trzymał mnie pod flintą na stronie. Niczego nie znaleźli i znowu mnie obili knutem, zadali kilka ciosów szablą i pchnięt w pierś, które jeszcze długo odczuwałem. Przy tym całym strachu usłyszałem, że na drodze wszczął się zgiełk. To nasi chłopcy przybiegli z kijami, chcąc mnie sekundować, natarli na stojących na drodze kozaków i poturbowawszy ich, że wsi przegonili. Ta utarczka wywołała okropny skutek, gdyż po godzinie przycwalał oddział 16 kozaków, z których jeden chwycił mnie za lewe ramię i nienitosiernie bił pięścią, że omal nie straciłem przytomności. Zawolałem: „Mój gospoda pomitu!!”, czyli — Panie Boże, ocal mnie. Po tym puścili mnie i pospieszyli na rabunek do mego domu. Ci rozwścieczeni złoczyńcy mogliby pohamować swą złość, ponieważ ich na trzy dni przed bitwą powstrzymałem przed rozbiciem mojej stodoły, pokazując salve-garde od generała Fermora, po ujrzeniu której jeden szelma powiedział: „S...syn Fermor!”. Czyin go mogłem rozzłościć? Chciałem zameldować że swojego chef tak malhonett respektował.

Nastal teraz czas taki, że musiałem opuścić swój dom, ponieważ cała wieś była pełna kozaków którzy tu szperali, rabali, bili, tak że nikt nie był bezpieczny w swoim domu. Na przykład jedną dziewczkę rąbnęli toporem w czoło, pewnej kobiecie i jednemu chłopcu rozwalili głowy. Uciekłem na tylne podwórze, dokąd już uciekli niczym przerażone owce moja żona z dziećmi i połowa naszej gminy. Moje i moich bliskich bezpieczeństwo zawisło od tego, że zażądano ode mnie butów i pończoch, które zaraz oddałem. Wkrótce potem inny zażądał spodni, które zabrał wraz z zerwaną mi z głowy letnią czapką. Teraz już byłem rozebrany niemal do koszuli i musiałem jeszcze tym barbarom czymś się narazić, gdyż jeden z owych synów Beliala trzasnął mnie knutem w twarz aż na chwile straciłem słuch i wzrok. Wydawało mi się możliwe, by ściągnąć tego łotra z konia, chwyciłem go więc za łeb, jednak tych morderców było zbyt wielu. Rzucili się teraz, na moich najbliższych. Zdarli bieliznę z mojej żony a jako że nie znaleźli żadnych pieniędzy, odrzucili ją. Mojej 17-letniej córce odebrali contouche, halkę i fartuszek. Mój 13-letni syn musiał oddać rabusiovi nowe spodnie z czarnej skóry, także nowy kolorowy contouche i kamizelę. To też spotkało wszystkich mieszkańców i nikt nie mógł uciec, bo cała wieś była obstawiona. Teraz rozpoczęła się generalna grabież wszystkich

domów. Zakończyła się wyprowadzeniem wszystkich koni, wołów, krów, świń (od razu je zarżnięto), gęsi, kur, wszystkich wozów i uprzęży. Po tym kozacy odjechali do swojego obozu na wysokim wzgórzu koło Kamienia Wielkiego, gdzie mieli dobre miejsce odpoczynku i mogli snuć wielkie plany a wszystkie bagaże dobrze ukryć.

Cóż było teraz robić? Każdy myślał tylko o ucieczce i zachowaniu własnego życia. Wszyscy chwytali wieczorem chleb, stoninę mąkę, kaszę i co tylko się dało unieść i z tym uciekali w bór, który rósł w pobliżu. W ciemności odszukałem w domu pantofle i z żoną i dziećmi, które wzięty ze skrzyni trochę ubrań, poszliśmy do exilium. Chwyciwszy w dłoń piękną laskę, wyrób z Altmarku, którą przed 40 laty otrzymałem od żyjącego jeszcze pana profesora Becmanna z Joachimeum w Berlinie, mojego szczerego przyjaciela z czasów szkolnych i uniwersyteckich, którą to laskę Rosjanie jeszcze mi zostawili, pomyślałem: Twój krzyż, Panie, będzie mi laską wędrowca. Moich dwoje dzieci znalazło schronienie wśród innego towarzystwa, zaś ja, moja żona i chłopiec służący odeszliśmy cum sacco per silvam na 1/2 mili w nocy. Przy tym w nocy zabłądziliśmy w lesie aż w niedzielę około 4 rano doszliśmy do Kamińskiego Młyna. Pan młynarz przeraził się na nasz widok i dał nam parę dziurawych lnianych szmacianych portek oraz wyszukał pocerowaną czapkę i także pończochy, czym jako tako mogłem się okryć. Uraczył nas śniadaniem. Gdy upłynęły trzy godziny, trafili kozacy i do młyna, kazali dać sobie piwa i chleba, wyprosili u młynarza buty, czapki, contouche i pończochy i odjechali stamtąd. Niedługo po nich nadjechał silniejszy oddział kozaków, którzy żarli, chlali i rabowali i tak było przez cały dzień długi, tak że moja żona w towarzystwie chłopca służącego uciekła do lasu. Służący po chwili zawołał: „Mamo, kozacy nadchodzą!”. Ogarnięty strachem wskoczył do stawu, gdzie zanurzony do połowy siedział w szuwarach aż do wieczora, kiedy cały przemoczony czuł się z wieloma przygodami do młyna, gdzie się musiał długo suszyć. W niedzielę rano znowu pojawił się zbójcki oddział. Kozacy uszczęli srogi gwałt i chcieli jednego kamińskiego chłopca, który był już przez kozaków cięty w ramię, w izbie zastrzelić, gdyż się nieco domyślali, że się będzie bronić. Moja żona bardzo lamentowała i prosiła za tym chłopcem. Przy tym jeden z kozaków podszedł do stołu, podał mojej żonie rękę i powiedział: „Matuska, już dobrze, już dobrze”. Ponieważ napłynęło do młyna już więcej ludzi, znalazł się między nimi kościelny z Kamienia. Ten usiadł sobie za drzwiami izby. Zobaczył go jakiś kozak i chciał go zastrzelić, ponieważ kościelny odezwał się po polsku. Kozak powiedział: „Zaraz młynarz niech przyniesie coś do picia, a my osądzimy takiego, co wygląda na szpiega”. Tak to ten polski akcent sprawił, że kościelnego ograbiono do koszuli. Został więc Pontius Pilatus bez portek. Ocaliłem się i w spokoju ściągnąłem moje szmaciane spodnie, które tymczasem pomocnik krawiecki naprawić musiał za pomocą 2 łokci lnianego płótna, które dotychczas uchowała moja żona. Portki te tak marnie pasowały, że ani na długość, ani na szerokość nie były dobre. Dość, że

była to para nowych spodni. Przed wieczorem nadjechał silny rój kozaków na koniach, wygarnęli z lasu całą rogaciznę młynarza i pognali do obozu kozackiego do Kamienia. Następnie wrócili po świnię, które ponieśli zarżnięte. Tuczne świnię zastrzelili u koryta, przy którym ukryła się żona kamińskiego kowala. Już żegnała się z życiem, ale na szczęście jej nie zauważono. Na koniec przysłała pora na kury i gęsi na zakończenia tego plądrowania.

Gdy nastał wieczór, przyszły moje dzieci w towarzystwie p. arrendatora z Kamienia z jego liczącą siedmioro dzieci rodziną i opowiedziały twe młynie, jak to wszyscy ukrywali się bez chleba od piątkowego aż do niedzielnego wieczora gdzieś na odludziu. Nikt się nie radował tak jak ja, że moich oboje dzieci przetrwało to wszystko bez szkody. Znalazłem też serdecznego towarzysza w cierpieniu w osobie pana arrendatora Hankwitza, którego kozacy w czasie jego ucieczki z Kamienia wciąż dźgali spisami w plecy, że aż mu grot spisy wyszedł pierśmi! Pan młynarz, że miał tu i ówdzie pochowany chleb i piwo w ogrodzie i stawie, przynosił tym głodnym wędrowcom, co tylko miał, by ich jakoś podreperować. We wczesny poniedziałkowy ranek, jako że młyn był już ograbiony do czysta, uciekinierzy rozeszli się po lesie, gdzie kto tylko wiedział i mógł. Młynarz przez jednego z synów pokazał nam drogę od młyna w głąb lasu, gdzie była szara drewniana szopka z czasów, gdy jednostki kawalerii były rozmieszczane po wsiach i lasach. Gdy doszliśmy do owego miejsca, nadarliśmy sobie mchu i zrobiliśmy miękkie leża na ziemi, by dać odpocząć obolałym zębrom. Leżeliśmy tam jak borsuki w wielkim strachu, bo mordercze kozackie zagony przejeżdżały obok nas i strzelały, tropiąc przerażonych ludzi jak dziką zwierzynę. Odbierali im życie, jak to uczynili wielu moim parafianom, wpięru strasznie pobitym, później zabitym. Lekko licząc liczba zabitych wyniosła około 100 osób, między którymi było 16 z mojej parafii, z Kamienia, Bogustawia i Mościc, zmasakrowanych na miejscu, których zastrzelono, zakłuto, mojemu zaś parobkowi odcięto głowę. Takie okropności wyczyniali ci złoczyńcy, Boga się nie bojąc! Gdy siedzieliśmy w szopie, nasz lęk się wzmógł za sprawą dziecka pasterza ze młyna, które płakało i darło się wniebogłose. Choć babcia dziecka miała ze sobą garnek z kaszą i próbowała nią jakoś zatkać dziecku buzię, przecie ta muzyka płynęła nadal, jeno continuo.

Wreszcie po 9 godzinie wieczorem poszliśmy do młyna. Dziękowaliśmy Bogu, naszemu mocnemu obrońcy, za to, że nas od takiego nieszczęścia uchronił, że pomimo płaczu dziecka nie odkryto nas i ocaliliśmy życie, mimo że blisko nas tamci jeździli, że mogliśmy ich widzieć cwałujących. Sam młynarz uciekł z synem w las. Kozacy jednak ich znaleźli i chcieli syna zastrzelić, jednak na błaganie ojca zostawili go przy życiu. Ostrzegli przy tym ojca, że nie powinien iść do młyna, bo tam stoją huzarzy, którzy go zaraz ustrzelą. Ten zacny gość, który ostrzegł młynarza był często przy furazowaniu siana z młyna i tego był tam przez młynarza pojony, za co teraz mógł się odwdziżyć ostrzeżeniem.



Teraz był czas, by sobie dobrze odpocząć, gdyż młyn był już zupełnie ograbiony, okna zerwano, wszystko wymieciono do czysta. Odeszliśmy ze młyna o świtaniu we wtorek około 3 godziny i w karawanie liczącej około 100 osób, bo tyle się nas w czasie marszu uzbierało, doszliśmy do miasteczka Dębna, odległego od młyna o 2 mile. Szliśmy pieszo i gdy dotarliśmy tam była już 9 rano. Wzbudziliśmy w miasteczku wielkie poruszenie, jako że byliśmy ograbieni, przeważnie poranieni i niemal do naga obdarci. Wszyscy współczuli nam w naszym nieszczęściu i okazali to współczucie, osobliwie zaś mnie, gdyż widziano, że mam tylko w pantoflach, starych pończochach, podartej czapce, contouche z surowego lnu, poraniony na twarzy i z kijem w ręku. Poszedłem zaraz do lazienki, który obmył mi spirytus głowę, ponieważ była okrwawiona i cała w guzach. Pozostaliśmy w Dębnie do czasu, aż usłyszeliśmy że Jego Królewski Majestat rozłożył się obozem w Mościcach i następuje na Rosjan.

Wobec tego poszliśmy w niedzielę do domu i natknęliśmy się na pana generała von Rauter, który stanął w naszym domu, każąc wysprzątać jeden z pokoi. Ubolewając nad moim nieszczęściem przyjął mnie na co dzień do swojego stołu. Gdy wraz z bliskimi wróciliśmy do domu, wszystkie okna i piece kaflowe były rozbite, wszystkie szafy, skrzynie, krzesła porabane i polamane. Zamki i klucze co do jednego zniknęły, tak że ani w domu, ani w gospodarstwie ni jednego nie mogłem znaleźć, choć potrzebowałem ich. Nie było też ani garnka, ani szkła, ani nawet drewnianej łyżki. Tak więc wszystko wyglądało nader żałośnie. Wszystko leżało w nieładzie: pióra, szafy, szkła, książki, pisma. Summa, była taka ruina, że takiego zniszczenia trudno sobie człowiekowi wyobrazić. W coś takiego też nie mogłem uwierzyć, słysząc tylko przedtem o tym, nie będąc tak nieszczęśliwie samemu doświadczonym.

*Experto crede Ruperto. Nam  
Pluris est oculatu, testis unus  
quam auris decem  
Qui audiunt, audita dicunt; qui  
vident, plane sciunt;  
Et qui auritus testes accipit, is rane  
non sane  
accipit. Et enim acrior est oculorum  
quam aurium  
sensus.*

Co się teraz zaczęło? Nie było chleba, pieniędzy, pościeli, przykrycia. Musieliśmy sobie radzić przez 14 dni ze słomianym barłogiem. Po 2 dniach poszedłem do obozu i poprosiłem kapelana pułku Schorlemer, nazwiskiem Ruig, o powierzenie mi kazania ku czci zwycięstwa. Wszelako on sam tego dnia je sprawo-

wał, ten kochany człowiek zaofiarował mi parę corduańskich butów, talara, sprokurował mi stante pede surdut od kapelana magistra Myliusza, jako że ów miał takie dwa. Do tego enkurażowali mnie. Poszedłem do domu i zastałem starą czarną kamizelkę, starą perukę, kapelusz i stare czarne pończochy, które zostały nadesłane z Kostrzyna i przez to byłem już wyposażony. Z innych rzeczy sprowadziłem Biblię, ponieważ wszystkie moje Biblie i księgi, greckie Schmidta poszły gdzieś precz. Z Septuaginty znalazłem na dworze kilka kartek. Kilku oficerów dało mi nieco pieniędzy, inny sam przyniósł mi parę butów kupionych na aukcji, jeszcze inny kapelusz. Co zaś mnie najbardziej poruszyło, to że gdy był grzebany pewien markietan, jeden żołnierz z artylerii pomagał w pogrzebie. Potem postać jeszcze na cmentarzu, wyciągnął sakiewkę i powiedział: „Panie pastorze, to piękny kościół. Daję dwa grosze”. Łzy zakręciły mi się w oczach. „Mój przyjacielu — powiedziałem — widzę twoje współczujące serce. Zatrzymaj swoje pieniądze. Sam bym się z tobą podzielił, tylko że nie mam czym”. W końcu musiałem te pieniądze przyjąć.

Nasze sprzęty kościelne rabusie pobrali sobie na naczynia. Srebrny kielich z Mościc jak również patenę zrabowano. Dwa duże cynowe świeczniki oltarzowe, konew, fiasza, chrzcielnica zniknęły, a zegar na wieży był w ruinie. Kościół w Bogusławiu spotkał taki sam los jak kościół w Kamieniu. Wybito w nich wszystkie okna, zaś w Kamieniu wyrzucono z krypty dwa ciała szlachetnie urodzonych patronów i porzucono w nawie. Moi wierni poszli na żebry, ja zaś pracowałem za darmo, jako że przynależną dziesiątą wybrano na furaz, spustoszone mi stodołę, a i nie wpływały żadne accidentia. Nie sposób było czegoś żądać od ludzi, którzy niczego nie mieli.

Właśnie w starych latach muszę  
po upływie wielu długich lat  
doznać grozy i wielkiego lęku,  
by w radości Bożej oglądać świat.  
Tak, byłem też bliski śmierci,  
lecz jest przecież we mnie zdrowie i siła.  
Ejże, Ty Boże, możesz sprawić przecie,  
by gdy krzyż noszę, męka radosną mi była.  
Lecz proszę Cię pokornie, byś  
dał mi wesołe i radosne serce,  
gdyż to Ty, mój kochany Boże,  
jesteś nadzieją, co raduje wielce.

Pozwolę sobie coś jeszcze tu przytoczyć, opowiedzieć o przykrym przypadku, jaki mnie spotkał anno 1757, dnia 7 listopada. Zostałem nocną porą napadnięty przez bandę lotrów i złodziei, których moja żona naliczyła razem siedmiu. Z

początku wywelekli moich z łózek, związali im ręce na plecach, spętali nogi i obili srodze. Ustyszałem z mojej sypialni wrzaski, zaspany wylazłem z łózka i uchylilem drzwi. Wraz obalili mnie na ziemię, a jeden zbój skoczył mi na plecy i zaczął oboma kciukami dusić za gardło. Trzymał mnie aż nadbiegło trzech dalszych łajdaków, którzy mnie spętali w taki sam sposób jak innych, cisnęli do niego pokoju, a głowę przykryli mi koldrą. Tak samo zrobili z moją córką, synem i dziewczką służebną. Po tym potamali szafy i skrzynie, poprzewracali wszystko i jeli szukać złota i srebra, których ukrycie moja żona musiała im wskazać. Gdy znaleźli to, czego szukali, odeszli z 300 talarami, złotem, całą srebrną zastawą stołową i pertami. Nasz mały syn oswobodził nogi i wszczął alarm. Jednak już było za późno, złodzieje byli daleko. Łatwo sobie można wyobrazić, w jakim byliśmy nastroju. Te lotry zrobili to tak samo wstrętnie jak Rosjanie. Zdarzenia te miały miejsce przed dwoma laty.

Bóg nie był łaskawy dla okolic, gdzie toczyła się krwawa bitwa i gdzie obozowały dwie wrogie armie, jako że co jedna oszczędziła jeszcze, to druga do reszty uprzątnęła.

Inne wspomnienia z tych samych dni (pisane przez pastorów z Dębna, Golic, okolic Barlinka) są bardzo zbliżone w treści i podobnie dramatyczne. Doświadczenia różnych okolic Nowej Marchii były widać jednakowo ciężkie, choć i tak wielebny Ludecus może mówić o szczęściu. On i cała rodzina uszli w końcu z życiem.

Opracowano na podstawie:

- 1) H. D a s s o w, *Aufzeichnungen über die Schlacht bei Zorndorf*, [w:] Schriften des Vereins für Geschichte der Neumark, Landsberg W. 1910
- 2) P. E h r i c h, *Chronik der Stadt Neudamm*, Neudamm 1896
- 3) F. v o n K o e p p e n, *Die Hohenzollern und das Reich*, Bd II, Głogów 1909
- 4) P. S c h w a r t z, *Die Russen in der Neumark während des Siebenjährigen Krieges*, [w:] Die Neumark, Landsberg W. 1939.